

# Teczki personalne

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Czy czarne lata kultury w Polsce to 44 lata rządów komunistów, czy 4 lata rządów ekip solidarnościowych? Słyszysz się dziś na ten temat drastycznie skrajne opinie. Środowiska twórcze są sfrustrowane w nowej rzeczywistości i nie są przystosowane do funkcjonowania w warunkach tworzącego się wolnego rynku. III Rzeczpospolita — ich zdaniem — odwraca się do kultury plecami, a miarą tej obojętności są rekordowo niskie nakłady na kulturę z budżetu państwa. Toteż coraz częściej pobrzmiwają w wypowiedziach twórców tony rozgoryczenia, tęsknota za protekcją państwa i nostalgia za przeszłością. Z drugiej strony, nie zartała się jeszcze pamięć o zakłamaniu i absurdach życia kulturalnego w PRL-u, których symbolem stała się ulica Mysia i towarzysze z Wydziału Kultury KC.

Jaki więc jest dla kultury polskiej bilans czterdziestu czterech i czterech lat? W dyskusji głos zabrali Jerzy Piechowski, Andrzej Rosner, Robert Jarocki, Aleksander J. Wieczorkowski i Andrzej Osęka. Dziś wypowiada się Krzysztof Masłoń.

Bilans powojennej kultury polskiej, dokonywany z punktu widzenia kadrowca z Pałacu Potockich, wydaje się absurdalnym. W końcu już Antoni Słonimski (a pewnie nie on pierwszy) w rozmowie z ówczesnym szefem resortu kultury, zapytał: — Czy pan minister wie, kto to był Goethe? Oczywiście, że rządowa persona była tego

fikty, które wywołał — bądź spowodował — obecny minister, Kazimierz Dejmek. Czy jest on pod tym względem wyjątkiem?

Dokonując wszelkich porównań, należy mieć na uwadze zasadnicze różnice w sprawowaniu polityki kulturalnej w PRL i w III RP. W dużym skrócie myślowym polega ona na tym, że w tej pierwszej for-

sprawia osoba Edmunda Zalewskiego. Skończył studia malarskie, działał w spółdzielczości, a powojenną karierę zaczął jako minister sprawiedliwości i to w bardzo gorącym czasie, między grudniem 1944 a majem 1945 r. Kulturą sterował krócej, bo niecałe dwa miesiące w 1945 r.

Dzieje PRL ukształtowały specyficzny model zawodowego polityka, czy — jak wtedy mówiono — działacza społeczno-politycznego. Z pewnością za kogoś takiego uznać należy Józefa Tejchmę, skądinąd historyka. A także Stanisława Wrońskiego.

Wspominany już tutaj ministerialny rekordzista — Lucjan Motyka z zawodu był... kierownicą.

## Notowanie akcji

O 17 ministrach kultury z czasów komuny mówi się różnie, a wspominający w zależności od tego, w jakich bywali z nimi stosunkach, albo wysławiają ich zalety, albo odsądza od czci i wiary. Jak się zdaje,

odejść i już. I to, że prezydent się na niego obraził, ma z tym tylko trochę wspólnego.

## Fundusz i fundusze

Bezpośredniej zależności między takim czy innym funkcjonowaniem Ministerstwa Kultury i Sztuki a stanem kultury w Polsce, trudno dociec. Po 1989 r. kilka już razy władze szykowały „zamach” na resort, a to szukając oszczędności w wydatkach państwowych, to znów wytykając niereformowalność biurokratycznych struktur w warunkach wolnego rynku, jaki zapanował przecież i w kulturze. Za każdym razem natychmiastowy odpór dawały środowiska artystyczne i związki twórcze, gotowe wówczas bronić ministerstwa przy Krakowskim Przedmieściu niczym niepodległości. Dziś Izabella Cywińska wspomina Dejmekowi, że centralizuje to, co ona decentralizowała. Jest to zgodne z faktami, tyle że decentralizacja taka w konsekwencji doprowadziłaby do samouczestwienia ministerstwa.

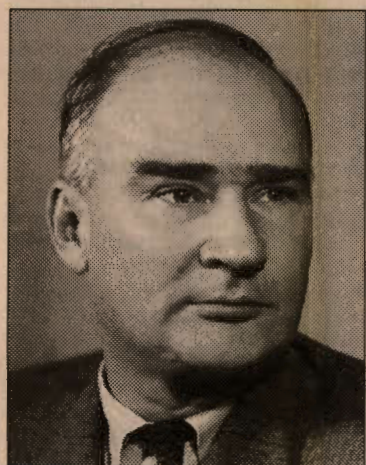
przez środowiska twórcze nie jako resort administracji państwowej, lecz jako reprezentacja w rządzie (czy przy rządzie). Coś z tego myślenia pozostało do dzisiaj, jeśli przypomnimy sobie, jak ex-minister Cywińska tłumaczyła ludziom kultury, zaniepokojonym zmniejszaniem środków płynących z budżetu, że i tak nikt, jak ona, nie ma tak dobrego „dojścia” do Balcerowicza, ówczesnego szarfa za wszelkich dóbr.

Trudno wyrokować, jakie „dojścia” ma i będzie miał Dejmek do Kołodki. Ciekawe jednak, że takie pytanie rzadko jest dziś stawiane. A przecież trudno nie dostrzec silnej pozycji ministra w gabinecie i autorytetu, jakim w nim się cieszy, a to może oznaczać więcej niż najdalej nawet idące interpretacje poczyniń i słów kontrowersyjnego szefa resortu kultury.

O kulturze zwykło mówić się jako o jedności, ale nie od dzisiaj wiadomo, że jedne jej dziedziny traktowane są lepiej, drugie — gorzej. Osobiste gusty i prefe-



Wincenty Rzymowski



Włodzimierz Sokorski



Lucjan Motyka



Józef Tejchma



Izabella Cywińska

FOT. ARCHIWUM PAP i

świadoma. Autor „Alarmu” kontynuował jednak to prywatne przesłuchanie: — A wie pan minister, kto w czasach Goethego był ministrem kultury?

## Rekordziści

Za komuny tych ministrów mieliśmy 17, po czerwcu 1989 r. — 5. Wiceministrów mniej więcej proporcjonalnie: 31 (nie licząc tych, którzy byli także ministrami) i 11. Swobodnym łącznikiem między starymi a nowymi laty stał się Wacław Janas, który był podsekretarzem stanu w resortie kultury i sztuki od kwietnia 1983 r. do grudnia 1989 r., a następnie ponownie został powołany na to stanowisko przez Kazimierza Dejmka. Janas miał na Krakowskim Przedmieściu czterech szefów: Żygulskiego, Krawczuka, Cywińską i teraz — Dejmka.

O jednego więcej ministra zdążył już mieć inny wiceminister kultury w obecnym rządzie — Michał Jagliello. Zaczął urzędowanie przy Cywińskiej, „przetoczył” Rostworowskiego, Sicińskiego i Górala, jakoś trzyma się przy Dejmku, a wcześniej — przypomnę — był nawet zastępcą kierownika wydziału kultury KC PZPR. Legitymację partyjną, żeby nie było wątpliwości, oddał w 1981 r.

Ministerialnym rekordzistą w czasach przed III Rzeczpospolitą był Lucjan Motyka, kierujący resortem bez mała 7 lat. Niewiele w długości stażu pracy ustąpił mu Tadeusz Galiński, a także Józef Tejchma (minister w latach 1974-78 i 1980-82).

## Maniery

Dajmy na razie spokój ministerialnym statystikom. Pora wyjaśnić powód, dla którego pozwoliliśmy sobie przyrzec się nieco bliżej ludziom kierującym Ministerstwem Kultury i Sztuki w ciągu ostatnich 44 i 4 — a nawet 5 — lat. Nie ma co ukrywać, że przede wszystkim chodzi o ostatnie kon-

macji ustrojowej skandale wywoływała pobicie ministra parasolką przez zazdrosną żonę, a w drugiej absencja ministra na posiedzeniu prezydenckiej Rady Kultury. Rzekłbym, że postęp jest widoczny.

O tym, czy Kazimierz Dejmek powinien być na tym spotkaniu obecny czy też nie, pisał już i mówili wszyscy mniej lub bardziej zainteresowani, z prezydentem Wałęsą na czele. Dejmek nigdy nie był łatwym człowiekiem; zarówno wtedy, gdy wystawiał „Brygadę szlifera Karhana”, jak wówczas, kiedy ponosił konsekwencje za „Dziady”, zapowiadał w wywiadzie dla „Zapisku”, że kończy z robieniem sztuki w obrzydłym mu ustroju, by w kilka lat później dyskredytować sens aktorskiego bojkotu telewizji. Dlaczego jako minister miał zmienić swoje obyczaje? O tym, że ma raczej nieeleganckie maniery, wiadomo od dziesiątków lat, tyle że wcześniej jakoś to mało komu przeszkadzało.

## Who is who

Dejmekowi nikt też nie odbierze zasług artystycznych. Jako reżyser i dyrektor Teatru Narodowego zapisał piękną kartę w dziejach polskiej sceny. Nie jest, oczywiście, jedynym artystą na ministerialnym fotelu po 1944 r., ale z pewnością najwybitniejszym. Drugie miejsce w tej kategorii przypaść powinno, wedle zasług, Izabelli Cywińskiej.

Ministrami kultury i sztuki bywali profesorowie (Żygulski, Krawczuk, Rostworowski, Siciński, Góral) i nauczyciele (Dybowski, Najdowski, Wiśniewski). Ogólnie mówiąc za ludzi pióra, publicystów, dziennikarzy uznać można: Wincentego Rzymowskiego, Władysława Kowalskiego, Kazimierza Rusinka, Karola Kuryluka, Tadeusza Galińskiego, Jana Mietkowskiego, Janusza Wilhelmiego. No, i Włodzimierza Sokorskiego, ale kim on jest naprawdę, nie wie chyba nikt, włącznie z samym zainteresowanym. Spore kłopoty

obie te opcje są fałszywe. W innych okolicznościach działali ministrowie za Bieruta, a w innych za Gomułki, inne też mieli możliwości. Niekiedy więc warto ugryźć się w język, zanim zaczniemy powiełać obiegowe opinie o uśmiechniętych liberałach i ponurych zamordystach.

Niewątpliwie jednak były wśród prominentów resortu kultury z lat PRL postaci barwniejsze i ciekawsze od innych. Do dziś po ministerstwie krążą legendy o Janie Wilczku, który w każdej sytuacji zachowywał się niekonwencjonalnie. A w urzędzie, w którym przez prawie 4 lata był wiceministrem, nie podpisał rzekomo żadnego papierka.

Nie tylko w ministerstwie lubiano Józefa Tejchmę, także w środowisku artystycznym cieszył się powszechnie dobrą opinią. Zapewne nie wyłącznie dlatego, że uchodził za człowieka przyzwoitego i kompetentnego. Również dlatego, nie oszukujmy się, że sporo mógł załatwić, a jego akcje w Białym Domu przez dłuższy czas notowane były wysoko: Włodzimierz Sokorski w licznych swych memuarach kreuje się na przyjaciele artystów. Ci z nich jednak, którzy cieszą się równie jak były minister dobrym zdrowiem, jego rządów w kulturze wspominają raczej ze zgrozą.

Urzednicy Ministerstwa Kultury i Sztuki, z którymi rozmawiałem o Kazimierzu Dejmku, starają się nie formułować jednoznacznych sądów o swoim najnowszym szefie. Na ogół podkreślają jednak, że jest to człowiek o mocnym charakterze. I wydają się być z tego zadowoleni, pewnie i dlatego, że poprzedniego ministra właściwie nie znali, gdyż większość swojej kadencji przechorował i przeleżał w szpitalu. Co do artystów, to jedni nie mogą się Dejmkiem nacieszyć, drudzy (w zdecydowanej większości) — najdelikatniej mówiąc — mają go serdecznie dosyć. Ma

Tylko, co z tego mogłoby wynikać? Przedwojenne Ministerstwo Kultury i Sztuki było efemerydą. Już w 1920 r. chciano je zlikwidować ze względów oszczędnościowych, by ostatecznie skasować w lutym 1922 r. Pozostała po nim legenda Zenona Przesmyckiego (Miriam), ministra w rządzie Paderewskiego. Urząd sprawował niedługo, bo zaledwie rok. Później ministerstwem kierowali różni „zastępcy”, wśród nich Julian Fałat. W efekcie resort kultury zastąpił departament sztuki w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Artyści, rzecz jasna, protestowali, ale niespecjalnie tym się przejmowano.

Ludziom sztuki, i przed wojną, i teraz, nie tyle chodziło o własne ministerstwo, ile o pieniądze, o dotacje, jakim ono dysponowało. Przedwojenny departament sztuki możliwości miał więcej niż skromne, dlatego w 1928 r. powołany został do życia Fundusz Kultury Narodowej. I to środki z niego płynące podtrzymywały życie kulturalne w II Rzeczypospolitej.

Z tych to wzorów skorzystano, tworząc w końcu okresu komunistycznego Fundusz Rozwoju Kultury. Jego zasługi — personalnie: prof. Krawczuka i dzielącego środki Wacława Janasa — są dziś, po równo, przeceniane bądź lekceważone. Nie ulega jednak kwestii, że w końcu lat 80. tylko dzięki niemu powstrzymano upadek instytucji kulturalnych i zahamowano narastającą pauperyzację twórców. Nie inne też, a właśnie funduszowe środki posłużyły Izabelli Cywińskiej do stworzenia i rozwinięcia Fundacji Kultury, w której to następnie rozdzielano pieniądze z Krawczukowego FRK.

## Preferencje

Odwolałem się jeszcze do czasów przedwojennych. Tamte, krótkotrwałe Ministerstwo Kultury i Sztuki traktowane było

rencje poszczególnych ministrów kultury i sztuki zawsze miały w tej kwestii niemale znaczenie. Dość wspomnieć tylko, jak to po stanie wojennym minister Żygulski zachwycał się „prężnie działającymi” zespołami folklorystycznymi.

Kazimierz Dejmek postawił na książkę, jak najszustniej dowodząc, że regres w cyfelnictwie pociąga za sobą najcięższe skutki społeczne. Pewne kontrowersje wzbudziły jednak niektóre jego posunięcia, a prawdziwa burza wybuchła wokół kierowanych przez Toeplitza „Wiadomości Kulturalnych”, na które to pismo Dejmek wyłożył 21 miliardów złotych. Z pieniędzy podatników, co mu zaraz słusznie wytknięto. Nie zmienia to jednak faktu, że literatura polska znów jest obecna na rynku, a pisarze mogą już opróżniać szuflady (o ile coś w nich mają), licząc na przychylność wydawców, a ci z kolei spodziewając się ze strony ministerstwa nie tylko dobrego słowa. I jest to sytuacja zdrowa, a że przy okazji ministerstwo i owo uszczupła filmowcom, to — proszę wybaczyć: chodzenie do kina na polskie filmy i oglądanie ich do końca, nie jest jeszcze obowiązkiem.

Ministerstwo Kultury i Sztuki po objęciu w nim rządów przez Kazimierza Dejmka stało się niejako terenem doświadczalnym do przeprowadzenia innego działania niż to, zaproponowane do dyskusji przez „Rzeczpospolitą”. Do liczb 44 i 4 dodawać można kolejne składniki. Np. zaproponować dodawanie 44 i 1 i 4, a może jeszcze 2 czy 3. I lata następne. Byłe same nie była fałszywa i sprawiedliwie oceniała wspólne — mimo wszystkich różnic politycznych — doświadczenia ludzi, którym jeszcze żyć w PRL i w III Rzeczypospolitej. Ludzi międzypokoleni, do których należą także ministrowie kultury i sztuki.